

**Maria Janion, Marta Zielińska,
Anna Nasiłowska**

Kuferek Harpagona

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1/2 (43/44), 199-217

1997

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Rozmowy

Kuferek Harpagona

**Z profesor Marią Janion
rozmawiają Anna Nasiłowska
i Marta Zielińska**

Anna Nasiłowska: *Pani Profesor jest autorką wielu inspirujących książek – ale także osobą, która ma swoją publiczność, swoich uczniów. Jakie ślady w książkach Pani Profesor zostawiają seminaria?*

Maria Janion: Nie należę do osób, które piszą jedynie w ciszy gabinetu. Nauczanie jest dla mnie motorem mojego poznania i pisania. Metoda jest taka: najpierw myśl trzeba poddać próbie, trzeba ją sformułować wiele razy i to wobec ludzi, których reakcje mogę śledzić. Czasem oni replikują, czasem zadają pytania. W ten sposób myśl przybiera taki kształt, który może zostać zapisany. Robię też notatki – najpierw przygotowując się do seminarium, potem w trakcie, a potem jeszcze po seminarium, żeby zdać sobie sprawę, w jakim stopniu myśl się przekształciła. Jest więc kilka wersji. To jest ciężka praca i kiedyś szło mi to łatwiej, ostatnio używam bardzo dużo papieru. Studenci się dziwią, że notuję także słuchając ich referatów, albo podczas ich wypowiedzi. Pewnie to im dobrze robi, bo widzą, że jest ktoś, kto interesuje się nimi, a ja mogę przypominać sobie potem te głosy, które mnie otaczają, kiedy piszę.

A. N.: *Pamiętam te tony książek, które Pani Profesor dźwigała na każde seminarium. Zauważam zresztą, że ja, jak mam coś prowadzić, też noszę książki i inaczej nie potrafię sobie tego wyobrazić. Może dlatego, że się nauczyłam i naśladowę. A może zrozumiałam, że trzeba się ich trzymać – duchowo czy fizycznie, a jedno z drugim ma wiele wspólnego. Nawet jak się jakiejś książki nie otworzy, to ona jest potrzebna.*

M. J.: Tak. One w tym wypadku są reprezentacją biblioteki, zupełnie niezbędną. Często nie otwieram książek podczas seminarium, bo mam je w notatkach i w głowie. Ale to jest mój kapitał, przyniesiony i wyłożony na stół. Często też studenci podchodzą i po seminarium mówią: czy mogę zobaczyć tę książkę. I to jest bardzo dobry moment, bo oni potem sobie to kupią albo pożyczą. Mówiła mi zresztą Małgorzata Baranowska, ile jej dało takie postępowanie profesor Mayenowej. Ona też na wykład przynosiła stosy książek. I może nawet nie zawsze starczało czasu, żeby je obejrzeć dokładnie, ale można było nabrać poczucia, że to jest. Ja to też rozumiem tak jak pani, jako rodzaj zakorzenienia. Może to w kulturze obrazkowej wyda się nawet anachroniczne, ale to jest gest podtrzymania tradycji. Ja coraz bardziej przywiązuję się zresztą do tradycji książkowej. Im bardziej triumfuje cywilizacja obrazkowa (czy nawet – kultura migających obrazków), tym bardziej cenię kapitał książkowy. To jak Skąpiec Moliera – pamiętacie przecież, że Harpagon miał pieniądze przy sobie w kuferku. Musiał głaskać swoje złoto, słyszeć jego dźwięk, obcować z nim. Gdyby je puścił w obieg, na spekulację, jakąż by miał radość? Żadnej. I ja jak Harpagon – lubię zanurzyć rękę w swojej bibliotece. Czasem moje książki kaleczą wzrok, jest ich za dużo, są nieporządnie ustawione, ale bez nich nie potrafię żyć.

A. N.: *Jeśli posiadanie życzliwego audytorium odgrywa tak wielką rolę w samym tworzeniu książek Pani Profesor, to zastanawiam się, na ile jest to stały krąg. Pamiętam dzieje seminariów Pani Profesor: było seminarium w Gdańsku, potem skończyło się, w Warszawie to też jakby kilka seminariów, na UW i na studium doktoranckim w IBL. I jeszcze w Szkole Nauk Społecznych.*

M. J.: Już jakiś czas temu powiedziałam, że to jest seminarium permanentne, które toczy się od kilku dziesięcioleci. Powinno właściwie

trwać bez przerwy. Czasem mówią mi studenci: wakacje? a po co? w czasie wakacji nie ma seminariów. Ja mam nawet wyrzuty sumienia, bo to powinno być tak: student wchodzi i seminarium już trwa. Potem on może w każdej chwili wyjść z tej rzeki, w której ja trwam. Student może przyjechać z gór czy znad morza i pomyśleć sobie: a! czwartek, godzina dziesiąta, mogę iść na seminarium. Rzeka wciąż płynie. Można wejść w jej nurt. Jest oczywiście pewien krąg ludzi, którzy mi towarzyszą, przez pewien czas są blisko, ale potem przecież odchodzą. Wielu staje się samodzielnymi profesorami. I oni wytwarzają swoje kręgi. Audytorium zmienia się co parę lat, ale nie nagle. Zmienność bywa dla mnie trochę męcząca, pamiętam na przykład pożegnania z rocznikami magisterskimi w Gdańsku – gdy więcej osób w jednym czasie odchodziło, to rozstania były dla mnie przykre. Zawsze pocieszałam się jednak cytatem z Norwida: „jedną ręką przestrzeń dałem, drugą ręką dałem czas”. Taka jest rola nauczyciela.

A. N.: *A jak to się dzieje, że pewne osoby tworzą wokół siebie szkołę, a inne – nie. To nie zależy od tego, czy ktoś jest wyrazisty, czy nie. Na przykład Ryszard Przybylski jest bardzo wyrazisty, ale jakoś nie skupia wokół siebie.*

M. J.: To chyba sprawa stylu pracy. Moi studenci ciągle marzą, żeby tak Ryszard Przybylski pojawił się na seminarium, bo oczekują od niego ważnych odpowiedzi, ale jakoś do tego nie dochodzi. On jest samotnikiem, ma swój krąg ludzi mu bliskich, ale najbardziej lubi czytać i nie wychodzić z domu. On uprawia *soliloquium*, a ja – *colloquium*.

A. N.: *Pani Profesor zawsze podkreśla, że jest historykiem literatury. Ale zawsze budziło to we mnie pewne wątpliwości: bo historyk literatury to ktoś, kto uprawia dyscyplinę w sposób bardzo opisowy, maksymalnie zdyscyplinowany, respektując rangę zjawisk i hierarchię autorów. A więc – tu pięć deko uwagi, tam – trochę więcej, ale liczą się proporcje. A Pani Profesor tworzy jakieś wielkie pejzaże wokół pewnych zagadnień. To jest zawsze zrobione pod pewnym kątem i zawsze – niestety – inspirowane, ale to nie jest profesorska historia literatury.*

M. J.: To bierze się stąd, że trzeba coś zrobić z erudycją. Czasem nawet marzę o pozbyciu się tego ciężaru, chciałabym przeczytać jakąś książ-

kę, jak się to mówi, „jak normalny człowiek”, bez tego szperania, pytań: „a co to znaczy?”. Jestem przyzwyczajona do tego, że znaczenie można określić jedynie w kontekście, w pewnej całości, muszę więc zawsze odtworzyć tę całość, zobaczyć rodowód danego wątku itd. To jest postępowanie hermeneutyczne, odmienne na przykład od tego, co robią dziś filozofowie postmodernistyczni. Pani powiedziała o „pejzażach wyobraźni”. To łączy się z erudycją, od tego się zaczyna, ale później dochodzi do tego coś jeszcze, zwłaszcza wobec audytorium...

A. N.: *No tak, widzi się oczu słuchaczy. Łapie albo nie łapie.*

M. J.: No bo jeszcze jest ciekawość, a jeśli mnie coś ciekawi, to i innych pewnie też. Nie mam więc oporów, żeby zapuszczać się daleko w pewne tematy. Pamiętam, jak kiedyś w Gdańsku, podczas zajęć na studiach zaocznych mówiłam o Novalisie. Cały wykład, bo tak mi się ułożyło w związku z romantyzmem niemieckim. Po jakimś czasie zgłosiła się do mnie słuchaczka i mówi: „Pani Profesor, ja od tej pory myślę ciągle o Novalisie. Pojechałam do swego ojca, który jest pszczelarzem i jemu opowiadałam przy ulach o Novalisie”. Niezbadane są losy nauczycielskich idei i opowieści – no, bo to są jakieś takie historie, to co opowiadam. I nigdy nie wiadomo, co na kim zrobi wrażenie. Tę osobę zachwycała pewnie wizja kosmosu u Novalisa i to nie przypadek, że opowiadała o tym ojcu przy ulach. To jest ważne, bo wzmaga poznawczą potencję życia i jeśli wiem, że coś takiego się zdarzyło – mam ogromną satysfakcję. W życiu nie ma zbyt wielu powodów do zadowolenia i satysfakcja poznawcza jest jedną z najpotężniejszych w moim przekonaniu. Może ktoś powie – to są ciekawostki. Ale to nie są tylko ciekawostki. Wielokrotnie zdarzało się, że mówiłam o czymś i myślałam: przecież tego nikt nie zrozumie, nie przyjmie, nie będzie go interesowało. A po jakimś czasie – jest jednak odzew. I widzę wtedy, że ktoś to przyjął, przemyślał, włączył w swoją całość. Rzeka płynie, ja jestem tą rzeką i w tej rzece są rozmaite rzeczy. Ludzie się w niej mogą przejrzeć, zobaczyć coś własnego, coś dla siebie – i przyswoić sobie. Pani kiedyś cytowała moje zdanie, że historia literatury jest koroną humanistyki – ja tak myślę. Jeśli porównam się z filozofem, to widzę, że w literaturze jest cała filozofia i jeszcze coś, fabuła, historia, idee, wielkie metafory, liryka, bo jest poezja. A poezja jest po prostu szczytem...

Marta Zielińska: *Ale literatura może okazać się takim półproduktem, bo dopiero historyk literatury z tego robi, co trzeba.*

A. N.: *No tak, Pani Profesor posługując się literaturą, robi z tego dzieło.*

M. J.: Jak to – półproduktem? co wy opowiadacie! Nie, nie, nie. Ja to rozumiem tak, jak kiedyś profesor Pigoń. Wysłałam mu powinszowania z powodu jego jubileuszu. Miał wydrukowany gotowy tekst podziękowania. Ale podpisywał się własnoręcznie „pokorny sługa – Stanisław Pigoń”. I ja sobie zapamiętałam tego pokornego sługę. Bo historyk literatury jest pokornym sługą. Zwłaszcza w stosunku do poezji.

A. N.: *A czy w życiu Pani Profesor byli jacyś Mistrzowie?*

M. J.: No, oczywiście. Ale, wie pani, moimi mistrzami były przede wszystkim książki. Może dlatego, że dziecięcą, młodzieńczą inicjację w humanistykę przechodziłam w okresie wojny i okupacji. Małgorzata Baranowska – to było drukowane w „Twórczości” – opisała mój zeszyt dziecinny, w którym zapisywałam, co czytałam i ile to miało stron. To są niewiarygodne ilości. I znamienne jest, że w tym zeszycie tyle razy pojawia się Rilke. W tym czasie tłumaczyłam sama *Pieśń o miłości i śmierci korneta Krzysztofa Rilke*. Jako dziecięc... Dziwne to było. Na dodatek dopiero na tajnych kompletach gimnazjalnych uczyłam się niemieckiego i to było podczas okupacji.

A. N.: *Ale, jak twierdzi na przykład German Ritz, Rilke wcale nie jest takim ważnym poetą niemieckim...*

M. J.: No tak, ale dla mnie jest bardzo ważny. Wie pani, jak ja mogę na to odpowiedzieć? To jak z Byronem, o którym Anglicy mówią: pierwszorzędnny poeta angielski w Polsce. Rilke jest pierwszorzędnym poetą niemieckim w Polsce. Dla mnie podczas okupacji Rilke to była wyspa... Jeśli kryterium poezji jest tzw. dreszcz metafizyczny, taki, co to po krzyżu przechodzi, to ja go odczuwałam czytając Rilkego. Tłumaczyłam także wiersz *Wielka noc*, przełożony zresztą przez Mieczysława Jastruna. *Dein Atem ging über mich*. Trafiłam już wtedy na przekłady polskie, ale wrażenie robiła na mnie także obcość melodii języka, którego przecież dobrze nie znałam. Wtedy wyczuwałam ogromną po-

tencję znaczeniową i zarys wielkiej formy. Teraz rozumiem, że już wtedy uchwyciłam to, co mnie tak bardzo potem interesowało – że to jest poeta egzystencji, piszący o jakichś drobinach istnienia, które jednak mogą sprawić, że rozumie się o wiele więcej. Podobne rzeczy zresztą przeżyłam później z Musilem i *Niepokojami* wychowanka Törlessa. Pisałam zresztą o tym w książce *Projekt krytyki fantazmatycznej* – o wrażeniach z dawnej lektury Musila. To są takie obrazy: jest noc, ktoś jest w pokoju, a ktoś podchodzi pod drzwi. Tu nie idzie o strach, ale o melodię kroków, noc, którą słyszy i obecność tego drugiego, niewidzialnego, ukrytego. Taki przepływ istnienia... To wszystko, nic więcej. To mną wstrząsało. Podobnie – *Malte*.

A. N.: *Zawsze chciałam Pani Profesor zadać takie pytanie: na Zachodzie marksizm jest jedną z normalnych tradycji filozoficznych, z tym się dyskutuje, włącza w dialog różnych idei w ramach dysputy akademickiej. Pani Profesor przed przelotem usiłowała pokazać, że u nas da się zrobić podobnie, zestawiając na przykład marksizm z psychoanalizą. W tej chwili widzimy żywiołowy odwrót od tamtej problematyki, alergię na język, odmowę zajmowania się problemami, które jednak tamta tradycja wyłoniła. Jak Pani Profesor widzi ten problem po przelocie 1989 roku?*

M. J.: Wiadomo, że marksizm oficjalny mordował wszelką refleksję i nawet nie ma co się nad tym zastanawiać. To oczywiste. Istnieje jednak pewna problematyka, o której daje się myśleć w kategoriach Marksa czy wywiedzionych z tej tradycji. Na przykład od jakiegoś czasu wiadomo dzięki pracom politologów i badaczy gospodarki, że nadchodzi kryzys pracy. Koniec pracy! Nie ma się co liczyć, nigdy nie będzie już pełnego zatrudnienia. I nie ma też co liczyć, że – jak nieraz sugerowano – zwalniani z jakichś miejsc pracy zajmą się informatyką i dołączą do rewolucji informatycznej. Będą duże obszary bezrobocia.

A. N.: *No tak, to oznacza frustracje społeczne, co grozi wybuchem.*

M. J.: Oczywiście, będzie dużo sfrustrowanych z powodu ubóstwa i z powodu konfliktu z tymi, którzy przedostali się do czołówki. Musimy sobie uświadomić konsekwencje informatyzacji. W Ameryce mówi się, że ogromna część gospodarki będzie kontrolowana przez wąską grupę uczestników rewolucji informatycznej. Zaczyna wzrastać

znaczenie takich grup, jak międzynarodowi specjaliści podatkowi, którzy decydują o tym, gdzie co będzie produkowane. Czytałam o tym, że wręcz mogą wytworzyć się w jednym kraju dwa społeczeństwa, a każde rządziłoby się odmiennymi zasadami gospodarczymi... Koniec pracy oznacza jakąś wielką zmianę, która już się szykuje. Kiedy ja przystawałam do marksizmu, a było to w czasach PRL-u, uważałam, że najwspanialszą ideą, która powinna być zrealizowana w Polsce, jest emancypacja pracy. Myślałam podobnie jak Stanisław Brzozowski – powinno dojść do emancypacji pracy i celem przemiany jest to, żeby robotnik stał się twórcą. To są jednak przeświadczenia... może nie fałszywe, ale z pewnością – romantyczne, i nawet ufundowane na romantycznej utopii. Nie biorą one pod uwagę rozwoju technicznego. Robotnik nie będzie już twórcą dóbr, nie będzie już robotnika w tradycyjnym rozumieniu i alienacja pracy nie jest wynikiem ustroju. Wiąże się z samym typem cywilizacji, z informatyzacją. To jest alienacja technologiczna. Nie następuje więc emancypacja pracy, lecz coś wręcz przeciwnego. I do tego – alienacja bezrobotnych... Czy wobec tego ta romantyczna wizja, która – co charakterystyczne – nurtowała jeszcze Oskara Wilde'a, traci zupełnie na znaczeniu? Mnie się wydaje, że nie. Można sobie wyobrazić, posługując się też kategoriami Marksa, możliwość powstawania rozmaitych ośrodków tworzenia. Mam tu na myśli szeroko pojętą działalność artystyczną, ale również – tworzenie w dziedzinie stosunków międzyludzkich. Myślę przecież o społeczeństwie, które się nie rozpada, lecz jakoś współżyje.

Ostatnia książka jednego z najbardziej wpływowych filozofów współczesnych, Jacquesa Derridy, nosi tytuł *Spectres de Marx*. Recenzenci zwracają uwagę na to, że Derrida, który nigdy nie był marksistą, głosi dzisiaj „powrót do ducha Marksa” w celu zdemaskowania „nowego porządku światowego” rynku kapitalistycznego. Jego straszny bilans Derrida określa w następującym słowach: „Nigdy jeszcze tylu mężczyzn, tyle kobiet i tyle dzieci nie podlegało zniewoleniu, zagłodzeniu lub wyniszczeniu”. Wątki Marksa powtarzają się. Cierpiąca ludzkość nie mówi o „końcu historii”, lecz chce prowadzić swój „dyskurs emancypacyjny”.

A. N.: *Wielokrotnie zadawano mi to pytanie, więc pozwolę sobie zadać je Pani Profesor: po co wprowadzać feminizm, przecież to jest ideologia!*

M. J.: Tak, ja się też z tym spotkałam, na przykład z okazji mojej ostatniej książki *Kobiety i duch inności*. Nie, to nie jest ideologia. To jest idea! Wcale zresztą nie nowa. Feminizm to tylko nowy wyraz dla tej idei. To jest dobrze sformułowane przez Germaine Greer, autorkę słynnego *Żeńskiego eunucha* – chodzi o konieczność zdefiniowania własnych doznań przez kobiety. Ktoś może powiedzieć, że to wczesna i dość łagodna postać feminizmu. Ale to mi najbardziej odpowiada. Uważam, że doznania owe są niedostatecznie poznane, a ich opisywanie jest czymś niebywale istotnym. I chyba nie przypadkiem stało się tak, że książka Grażyny Borkowskiej o prozie kobiecej nosi tytuł *Cudzoziemki*, a ja wydobywam „ducha inności” kobiet. Zwracamy więc uwagę, każda od swojej strony, na odmiennosc. Mówiłam też wielokrotnie o tym, że żyjąc i kobiety, i mężczyźni podlegają zawsze opresji, ale kobiety w sposób szczególnie, dodatkowy. Feministyczny punkt widzenia polega na tym, żeby opisać tę dodatkową opresję. I to jest coś, co ułatwia samopoznanie – więc warto się tym zajmować. Mam też wrażenie, że kobiety w Polsce są źle traktowane, a ich doświadczenia odsuwane na bok jako podrzędne. Sama pani zresztą doskonale o tym wie, bo napisała pani książkę o porodzie. To jest po prostu bardzo rzadka problematyka. Na przykład menstruacja w powieści *Absolutna amnezja* Izabeli Filipiak budzi odruch niechęci sporej części publiczności, bo po co to wywlekać, to jest fizjologiczne i wstrętne. Ta wizja „nieczystości” usprawiedliwiała wykluczenie. Trzeba z tym skończyć, zrozumieć, skąd się może brać dyskryminacja.

Nietzsche twierdził, że kłamstwo jest istotą kobiety. I głębiej jej upadku odzwierciedla to, że kobiety nawzajem mają o sobie tak złe zdanie. To znaczy, że mają pogardę dla swej kondycji, co jest dowodem na uznanie własnej niższości. A są istotami niższymi, bo obce im jest dążenie do prawdy. Nietzsche staje się więc zwolennikiem mądrości azjatyckiej – trzymania kobiet na dystans, odmawiania racji kobiecemu punktowi widzenia. Warto jednak uświadamiać kobietom, że ich pogarda kobiet jest wyrazem uwewnętrznienia patriarchy.

Zapewne, jak twierdzi np. Jerzy Sosnowski, istnieje metaseksualna domena dyskursu między płciami, ale w tym dyskursie jedna strona jest jednak nie opisana. Więc niech będzie opisana i wtedy będziemy mogli ustosunkować się do metafizyki płci, utrzymującej, że kobieta jest naturą, a mężczyzna – rozumem. Przecież trudno na ten temat coś twierdzić, jeśli nie ma opisu strony kobiecej. Jest opis męskiego rozumienia

kobiet, albo strony męskiej. Można sobie przecież wyobrazić sytuację, że opis doznań istnienia przez kobiety zmusza nas do rewizji wielu poglądów i teorii. Proszę zwrócić uwagę, że uważano Freuda za kogoś bardzo niezwyklego, bo słuchał kobiet. Ale jesteśmy trochę dalej. W „Res Publice” ukazało się tłumaczenie tekstu, którego autorka – Gloria Steinem – pisze „na nowo” psychoanalizę, jakby Freud był kobietą. A więc mamy dr Philis Freud, która wslawiła się tym, że słuchała mężczyzn i na tej podstawie stworzyła teorię testerii, co jest oczywiście kpina z teorii hysterii. Ten tekst jest w jakimś stopniu zabawą, ale obnaża szaloną jednostronność...

M. Z.: *I ten punkt widzenia usurpuje sobie prawo do uniwersalności.*

M. J.: Wynika to wszystko z niemoty kobiet. Chciałabym przypomnieć wierszyk, który już przytaczałam podczas promocji *Kobiet i ducha inności*.

To dziewiętnastowieczna wizja kobiety, świadcząca o nakazie niesłuchanego jej upodrzednienia, z którym my jednak już nie możemy się pogodzić:

Cierpieć w milczeniu,
Mówić w spojrzeniu,
Żyć w poświęceniu,
Umrzeć w westchnieniu.

M. Z.: *To i mężczyzna może...*

M. J. (ze śmiechem): Mężczyzna też może, tak..., ale to było skierowane do kobiety, tak rozumiano jej posłannictwo. Proszę zwrócić uwagę, że tu w ogóle uchyla się mówienie. Mówienia nie ma. Nic, nic, tylko czasem można wydać jakieś głębsze westchnienie, i to przed śmiercią. „Ach!” – i to wszystko. Więc teraz chodzi o to, żeby kobiety zaczęły mówić, żeby mówiły kobiety współczesne, ale i tamte kobiety trzeba by też jakoś „archeologicznie”, że tak powiem, doprowadzić do mówienia.

M. Z.: *A jak to się ma do romantycznej wizji kobiety? U romantyków kobieta pełniła szczególną rolę, była inna, uduchowiona, ale jakby niższa, stawiana na równi z prostaczkiem i dzieckiem...*

M. J.: A jednocześnie wyższa...

M. Z.: *Zgoda, ale to mężczyźni ją w ten sposób zaklasyfikowali...*

M. J.: No tak, ale zaklasyfikowali ją romantycy bardzo wysoko. Ona właśnie była przedstawicielką uczucia, instynktu, wszystkich sił irracjonalnych, kosmicznych – tak jak w *Romantyczności* Mickiewicza.

M. Z.: *To ją jednak oddzielało od rzeczywistości społecznej, bo przecież nie wypadato, żeby taka istota w politykę się bawiła...*

M. J.: Nie, ona mogła, tak jak mówił Mickiewicz w wykładach w Collège de France, ale nie na drodze emancypacji Fouriera czy Saint-Simona, tylko na drodze ofiary...

M. Z.: *No właśnie, zostawić jej ten swój ołtarzyk, niech siedzi przy ołtarzyku – jak mówił Mickiewicz z katedry – to lepsze, niżby się w życie polityczne i społeczne wdawała...*

M. J.: Za pomocą ofiary mogła się wdawać.

M. Z.: *Czyli cierpieć w milczeniu.*

M. J.: To prawda, tak, i to pozostało kobietom polskim...

A. N.: *Mnie się zawsze wydawało, że wyobraźnia Pani Profesor jest jednak wyobraźnią ciemną, że ona jest ufundowana na wizji Apokalipsy, tak najgłębiej... Czy rok 2000 coś Pani mówi i jakiego typu skojarzenia budzi?*

M. J.: Wyznając światopogląd tragiczny, uważam, że nigdy mu końca nie będzie, dopóki będzie istniała ludzkość. To znaczy, że zawsze będzie jej towarzyszył Camusowski Syzyf i jedyne możliwe do osiągnięcia szczęście będzie szczęściem Syzyfa, który – jak pisze Camus – wtacza głaz na wysoką górę, głaz się stacza i Syzyf się uśmiecha, bo widzi absurd, absurd istnienia, ale jednocześnie ponawia bezustannie wysiłek wtaczania głazu na szczyt góry. To nie jest katastrofizm, ale głębokie przeświadczenie o tragizmie ludzkiej kondycji.

Natomiast w dzisiejszej wizualnej, jak byśmy powiedzieli, propagandzie najbardziej podoba mi się taki afisz, który widziałam gdzieś za granicą, przedstawiający trzy postacie kobiece, ustawione profilami, natchnione i patrzące w dal... Jedna to Slavia, druga Germania, a trzecia to Galia. To jest jakaś wizja Europy, która może się porozumieć, i podoba mi się, że została ona wyrażona poprzez kobiece alegorie. Można powiedzieć, że kobieca alegoria jest czymś niestychanie wytartym i nie znaczącym, alegorie zawsze były kobietami, ale tu można się popatrzeć czegoś głębszego.

A. N.: *Tak, ja nawet czytałam taką pracę niemiecką „Allegorien und Geschlechter differenz” Dlaczego kobiety? Na takiej zasadzie jak zwierzę może zostać alegoryczne, a mężczyzna nie może, bo to jest coś spoza porządku racjonalnego, wobec tego można to sakralizować. Dlatego.*

M. J.: Ale też można mieć inną teorię, którą omówiłam właśnie w książce *Kobiety i duch inności*. Idzie o twórczość i transgresję, najkrócej mówiąc. Psychologia twórczości, jak twierdził Jung, jest psychologią kobiety i dlatego, dodajmy, przystąpienie do jakiegokolwiek twórczości jest przystąpieniem do zasady kobiecości.

A. N.: *Tak, bo Jung uważał, że anima jest jednak żeńska, a niezależnie od tego usiłował uzasadnić, że kobieta ma w środku jakiegoś animusa – ale to się nie trzyma kupy..., nie, anima jest żeńska.*

M. J.: No więc właśnie. Ale bo to jest odwieczna kraina Matek w II cz. *Fausta* Goethego. To jest koncepcja i Goethego, i Junga, przyjmowana – co charakterystyczne – przez *New Age*. Patronami *New Age* są Goethe i Jung, a nie Schiller i Freud. To daje do myślenia. Może to kobiety będą przyszłością i Europy, i świata...

M. Z.: *Może teraz zmienimy trochę temat. Gdyby Pani Profesor mogła w czapce-niewidce przenieść się w czasie i przestrzeni do konkretnych momentów z przeszłości Polski, które by Pani wybrała? Aby sprawdzić co? usłyszeć? podstuchać? zobaczyć? Taki rodzaj marzenia profesorskiego...*

M. J.: No więc ja bym się chciała przenieść w czasy I Rzeczypospolitej i usłyszeć oralną praktykę rodzącego się gatunku literackiego, którym się zajmowałam wielokrotnie, to znaczy gawędy szlacheckiej...

M. Z.: *Czy w takim dworku Pani Profesor by chciała pobyc?*

M. J.: Nie, chciałabym być duchem latającym ponad i wszystko to oglądać, a nie osadzić się gdzieś, broń Boże. Sama pani mówi: podsłuchać, zobaczyć, no to właśnie tak fruwać w powietrzu, z lotu ptaka oglądając...

M. Z.: *A które konkretnie stulecie?*

A. N.: *Między siedemnastym a dziewiętnastym?*

M. J.: Nie wiem, też jakąś syntezę tych stuleci bym chciała zobaczyć właśnie w takim oglądzie...

M. Z.: *Opracowaną książkowo...*

M. J.: Nie, nie, nie, to raczej byłby ogląd w jednym mgnieniu, to by była – jak mówi Lévy-Bruhl – partycypacja mistyczna, swobodnie używając tego terminu...

M. Z.: *To znaczy, że tak jak Pan Bóg, który jednocześnie może być we wszystkim i wszędzie...*

M. J.: No coś takiego.

A. N.: *Ja to bym chciała dowiedzieć się, skąd się właściwie wzięli ci Słowianie, to jest zagadka wielka.*

M. J.: Tym bardziej, że teraz odkopują jakieś cmentarzyska niby słowiańskie i okazuje się, że to są Goci na przykład, prawda?

A. N.: *A jednak czujemy, że to co my mamy za sobą, to jest bardzo jednorodne i określone, i coś to jest!*

M. J.: Wie pani, ja sobie wyobrażałam, że pod koniec życia napiszę trzy rozprawy, do których ciągle zbieram materiały. Jedną rozprawę już udało mi się napisać, a mianowicie, dlaczego rewolucja jest kobietą, ale tamte dwie to chyba są nie do napisania, bo druga miała być o smokach, skąd się biorą smoki, a trzecia miała dotyczyć tego, dlaczego ostatni władca Inków tak w końcu łatwo się poddał najeźdźcom...

M. Z.: *O smokach, błagam, koniecznie...*

M. J.: A dlaczego się tak słabo opierał najeźdźcom?

M. Z.: *Tego nie wiem, ale to jest jakaś sprawa ciekawa...*

M. J.: Przegrał grę w piłkę, w tę świętą piłkę, i to go obezwładniło. Ale to jeszcze nie wystarcza.

M. Z.: *Amerykanie napisali, dlaczego...*

M. J.: Ach, oczywiście, jest bardzo wiele rozmaitych teorii, co się przydarzyło, tylko ja bym chciała swoją własną wymyślić. To by była praca może Borgesowska, taka zupełna fikcja, oparta niby to na faktach historycznych, musiałabym napisać powieść może...

A. N.: *Właśnie, fantastycznie!*

M. J.: Musiałabym napisać może postmodernistyczną powieść, łączącą jakąś fabułę dziwną, podejrzaną erudycję, z esejem...

A. N.: *Wymyślić trochę dokumentów...*

M. J.: Tak, wykreować dokumenty.

A. N.: *...które musiały istnieć, oczywiście.*

M. J.: Co? Smoki? O smokach?

M. Z.: *Smoki koniecznie proszę, mnie też obchodzą bardzo.*

M. J.: Ja wiem, że panią obchodzą, ale właśnie, może dlatego, że te dinozaury do dzisiaj żyją jeszcze...

M. Z.: *Nie, tylko ktoś je kiedyś widział i przekazał w legendzie.*

M. J.: Przekazywał w legendzie, ale może one jeszcze wśród ludzi żyły, czasem się pokazywały...

M. Z.: *No, takie małe jaszczury to żyły...*

M. J.: Takie duże może też. A ten potwór z Loch Ness to co, może to też jest jakiś stwór z dawnych czasów...

M. Z.: *Jednak jest pewna różnica między azjatyckimi smokami i naszymi europejskimi.*

M. J.: Prawda.

M. Z.: *Tam były bardziej latające, ja wolę te azjatyckie oczywiście.*

M. J.: Tak, bo pani to w ogóle woli wszystko, co azjatyckie, może wyłączwszy stosunek do kobiet, który tak wychwalał Nietzsche, co?

M. Z.: *No, ja wiem?*

M. J.: Idąc do kobiety nie zapomnij bicza, tak?

M. Z.: *Niezupełnie tak tam było. Teraz może tak to wygląda.*

M. J.: Nietzsche twierdził, że w Azji panuje właściwy stosunek do kobiet, zasada niespoufalania się z nimi, a Grecy w miarę wzmaganania się kultury i wzrostu siły, stawali się coraz surowszymi dla kobiety, więc bardziej orientalnymi.

M. Z.: *Dystans zakładał pewną równowagę i kobiety miały tam swoją rolę. Ale faktem też jest, że fizyczna „słabszość” kobiety w warunkach nierozwiniętej techniki musiała powodować upodrzednienie, nie ma cudów, samurajami być nie mogły.*

M. J. (śmieje się).

M. Z.: *Poza tym Azjaci wierzyli w reinkarnację, duch przemieszczał się z ciała do ciała, więc płęć nie miała takiego znaczenia. To dla nas ma, jak jest tylko jedno życie.*

Wróćmy jednak do historii literatury. Czy dziś Pani Profesor wybrałaby swój zawód ponownie? Gdyby jeszcze jedno życie przed Panią było, taka Faustowska przemiana, czy historia literatury nie okazałaby się już wyczerpana w stosunku do jakiejś innej ciekawej dziedziny wiedzy?

M. J. (śmieje się): Nie, ona jest niewyczerpana, moim zdaniem, historia literatury nowożytnej nigdy nie będzie wyczerpana, więc oczywiście, że ponownie wybrałabym ten zawód. A czy jest jakaś inna dziedzina wiedzy, która mnie interesuje? Otóż właśnie chciałabym powiedzieć o tym, że przecież ja sobie wyobrażałam, że będę studiowała filologię klasyczną. Podczas okupacji, gdy uczęszczałam na tajne komplety gimnazjalne, miałam nauczycielkę łaciny, którą uwielbiałam i która mi wpoila niesłychany kult antyku; uważałam, że życie duchowe w ogóle powinno na tym polegać, że człowiek siedzi i kontempluje antyk – i koniec. Wtedy stworzono najwyższy ideał piękna i to wystarczy, żeby wypełnić życie. Ona mnie uczyła zresztą greki prywatnie, poza kompletami – tak się przygotowywałam do studiowania filologii klasycznej. To był mój projekt życiowy. Kiedy przyjechałam do Łodzi ekspatriowana z Wilna, zapisałam się na filologię klasyczną, lecz też i na polonistykę. Myślałam, że będę studiowała równoległe, no, ale już nie dałam rady i filologia klasyczna odpadła. Współczesność jakoś mnie zagarnęła.

M. Z.: *To były decyzje sprzed iluś tam lat, a czy teraz, gdyby Pani Profesor miała wybierać...?*

M. J.: Tak, myślę, że podobnie, tak, tak, jeślibym chciała czymś się jeszcze zajmować, to filologią klasyczną. I właściwie myślę, że coraz bardziej chciałabym się tym zajmować, może dlatego, że są to marzenia dziecinne. Wtedy niesłychanie na mnie wpływało piśmiennictwo dla młodzieży gimnazjalnej; wychodziło ono pod tytułem „Filomata” w okresie dwudziestolecia międzywojennego, czytałam to podczas wojny, a moja wizja antyku była bardzo wyraźnie związana ze zgłębianiem oby-

jowości Greków i ich, jak się zdawało, podobieństwa do nas dzisiaj – z poczuciem, że jest ewolucja, prosta linia od antyku do dziś. Takie było wtedy widzenie starożytności. Natomiast teraz czytam prace, które wskazują na to, że na przykład greckie rozumienia jakichś podstawowych pojęć były inne, że oni co innego mieli na myśli, niż my to sobie wyobrażamy. Czyli taka idea prostej ewolucji jakoś niezupełnie się sprawdza. Prace Heideggera podejmowały właśnie próbę konfrontacji z tym, co w Grecji rzeczywiście przez rozmaite pojęcia rozumiano. Słowem, w tej chwili, gdybym mogła się tym zajmować, bardziej by mnie pociągała obcość antyku niż swojskość. Natomiast wtedy dla mnie – jako młodej dziewczyny – a proszę pamiętać, że to było w czasie okupacji i po okupacji – ważna była ciągłość Europy i antyku, chociaż już miałam pewne podejrzenia, widząc jak Niemcy wykorzystują antyk rzymski, imperialny. Więc to mnie troszkę niepokoiło, ale uważałam, że faszyzm się skończy, pójdzie na śmietnik, natomiast pozostanie ten biały, wspaniały Winckelmannowski ideał antyku i ja, kontemplując go, będę czuła, że jestem właściwie w starożytnej Grecji, kąpię się w niej, bo jestem w prostej linii człowiekiem z tej tradycji. Taka utopia, romantyczna przeciw, Herderowska. Ale klasycyzm totalitaryzmów też z niej jakoś czerpał.

M. Z.: *Może to jest kwestia wieku? Może najpierw trzeba coś oswoić, żeby potem zobaczyć tę obcość?*

M. J.: Ma pani rację, ale chodzi mi też o to, że ja bym tak bardzo chciała sięgnąć do czegoś, co jest przed chrześcijaństwem, zobaczyć, na czym polegało greckie pogaństwo i zgłębić obcość również jako stan przed chrześcijaństwem, które nas zdominowało. Roberto Calasso w *Zasłubinach Kadmosa z Harmonią* podprowadza nas pod grecką obcość. Ja tak jego wspaniałe dzieło rozumiem. Rozumiem chyba także, dlaczego na przykład w tej chwili tak bardzo podoba mi się Szekspir. Przedtem mnie tak nie pociągał, a pani Maryna Żmigrodzka zawsze mówiła, że to jest największy pisarz wszechczasów. I gdyby ją zbudzoną w środku nocy, zupełnie nieprzytomną zapytano: „Jaki jest największy pisarz świata!?” – zawsze by powiedziała: „Szekspir i tylko Szekspir.” Ale ja uważałam, że nie, że na przykład Mickiewicz, prawda?

M. Z.: *No, im więcej się zajmuję Mickiewiczem, tym bardziej on rośnie...*

M. J.: Więc właśnie, o to też chodzi. Myśmy z panią Maryną spędziły pół życia, rozmawiając bez przerwy o Mickiewiczu i Słowackim. Ona jest wielbicieleką Słowackiego, taką absolutną, umie wiele Słowackiego na pamięć jeszcze z czasów bardzo wczesnego dzieciństwa, bo ją ojciec kołysał do snu, deklamując *Dumę o Wacławie Rzewuskim*. Więc ona się wychowała w rytm tej dumy i powtarzała zawsze: Słowacki i Słowacki. I wiecie co, teraz, po tylu, tylu latach ona do mnie mówi, niedawno nawet: „jednak Mickiewicz...” (śmieje się). Ja pytam co? co? co? Myślę, że źle usłyszałam. A ona mówi: „Słuchaj, ta prostota, ta prostota wspaniałej polszczyzny, to jednak tylko jest u niego, Słowacki tego nie ma, no nie ma...” Ale jeszcze wracając do Szekspira, wiecie, że on jest jakoś poganinem, ten Szekspir.

M. Z.: *Dlatego Japończycy go chętnie filmowali.*

M. J.: Właśnie, ma pani rację, bo jak się tak ogląda Szekspira czy czyta, to jednak się widzi, że to świat wyłącznie ludzki. Wspomina się często o losie, ale los u Szekspira to kategoria międzyludzka. Ostatnio znów, gdy wykładałam *Lata nauki Wilhelma Meistra*, odrębny fragment dotyczył Szekspira i *Hamleta* (bo przecież Wilhelm przez pewien czas chce być aktorem, pasjonuje się Szekspirem i trupa teatralna, z którą przebywa, wystawia *Hamleta*). Musiałam powrócić do rozmyślań *Hamleta* nad tym, co nas skłania do dźwignia brzemienia życia i nie kładzenia mu kresu dobrowolną śmiercią. Któżby stękał i spływał potem...

Gdyby nam woli nie zbijała z tropu
 Obawa przed tym, co będzie po śmierci,
 Przed nieobecną w atlasach krainą,
 Skąd żaden jeszcze odkrywca nie wrócił...

Są tu zwątpienia i lęk, udręczenie i wielki niepokój nowoczesnego człowieka. Kraina, do której tyłu poszło, a nikt stamtąd nie wrócił. Nie ma tu chrześcijańskiej wizji zaświatów. Jest tylko postawiony straszny znak zapytania, a jednocześnie jest to cudownie powiedziane. Przecież wielu z nas ma poczucie, że właściwie jakby najgorsze w naszym życiu jest to, że z tamtej krainy nikt nie wrócił... Ja przynajmniej mam bardzo bolesne poczucie tajemnicy niepowrotu... Mimo że się zajmuję romanzykami i duchami, często piszę o widmach i wampirach – to zarazem

stają ciągle w obliczu tego faktu właśnie, tego: „nikt nie wrócił”. Nie mogę nikogo zapytać, a przecież są miliony zmarłych.

M. Z.: *Mickiewicz wierzył, że ci umarli są blisko nas.*

M. J.: Ja wiem i Polacy w ogóle w to wierzą, i bardzo piękna jest ta nasza bliskość wobec umarłych. Ale, ale żeby tak ich zapytać...

M. Z.: *...to by się świat zawalił.*

M. J.: Dlaczego?

M. Z.: *Ja sobie dalej nie wyobrażam, co by ludzie zrobili. Konsekwencje byłyby nieobliczalne.*

M. J.: Ale, wie pani, jak ciężko żyć ze świadomością, że tak naprawdę żaden wędrowiec nie powrócił z tej krainy. Pamiętam, jak czułam, że przychodził do mnie po śmierci profesor Wyka. Widywałam go właśnie tu, w tym oknie. Trwał tak na wysokości trzeciego piętra i ja pytałam go: no więc jak? jak tam jest? bo uważałam właśnie, że skoro wrócił, to mógłby mi odpowiedzieć. No i nic, niczego się nie dowiedziałam, nic mi nie powiedział... Ale te odwiedziny powtarzały się przez dłuższy czas i byłam nimi potwornie zmęczona. Nie przyszło mi do głowy rozmyślać, w jaki sposób w ogóle znalazł się w tym oknie – to było dla mnie oczywiste i naturalne. Problemem było to, że nie chciał? nie mógł? nic powiedzieć.

M. Z.: *Dobrze, że Pani Profesor to jakoś przetrzymała... Kawabata – pisarz japoński, noblista – popełnił samobójstwo dlatego, że go duch Mishimy, również pisarza, nawiedzał. We współczesnej, nowoczesnej Japonii i z takiego powodu wsadził głowę do piecyka gazowej kuchenki...*

M. J.: Ja to wytrzymałam, tak, ale to się już działo na granicy załamania, prawdę mówiąc...

M. Z.: *Tragizm przemijania łączy się z linearnym widzeniem rzeczywistości, pochodzącym, najogólniej mówiąc, z tradycji judeochrześcijań-*

skiej, uzupełnionej w ostatnich wiekach przez ideologię postępu w społecznych utopiach. Postęp został zakwestionowany, istnienie Boga również. Jeśli więc w obecnym stanie kulturowej świadomości nie widać żadnego przekraczającego nas celu – po co trzymać się linii? Może w równoczesności jest coś optymistycznego? Trwanie jak na obrazku, a nie w tekście. Może to jakaś jedyna dostępna forma rajy? Jakie jest zdanie Pani Profesor?

M. J.: Otóż ja źle myślę o tej równoczesności, źle myślę.

M. Z.: *Ale chciałyby Pani zobaczyć te czasy pogańskie...*

M. J.: Tak, ale to nie jest równoczesność, ja chcę zobaczyć jakiś segment, a pani mówi o równoczesności, która jest właściwa współczesnej kulturze czy współczesnemu pokoleniu.

M. Z.: *Taka trochę zwierzęca...*

M. J.: No właśnie, więc tak rozumiana równoczesność byłaby dla mnie czymś bardzo powierzchownym.

M. Z.: *Człowiek Wschodu by tak nie powiedział, bo to raczej dogłębne wejście w daną chwilę, w jakąś wieczność bez przeszłości i przyszłości.*

M. J.: Ale ja nie mam chwili, ja mam historię!

listopad 1996